



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Mieczysław Wodzicki

## W okupowanym Włocławku

W czerwcu 1939 roku otrzymałem małą maturę w prześwietnym Prywatnym Gimnazjum Męskim imienia księdza Jana Długosza we Włocławku. Szkoła ta założona została jeszcze na podstawie zezwolenia niemieckich władz okupacyjnych w 1916 roku, jako polsko-katolickie ośmioklasowe gimnazjum filologiczne.

Powróciwszy na przełomie lipca i sierpnia ze wspaniałej kolonii Śnieżnicy w Beskidach, wypełnionej nie tylko modlitwą, turystyką, wypoczynkiem, ale i pracą dla dobra ogółu, przygotowywałem się duchowo do rozpoczęcia nowego etapu życia młodzieńczego w liceum. Sen o czekających mnie trudach i radościach pękł jednak jak bańka mydlana w dniu 1 września, z chwilą wybuchu II wojny światowej.

Pierwsze bomby spadły na Włocławek w dniu 3 września. Zburzyły między innymi kamienicę położoną naprzeciw mojego rodzinnego domu przy ulicy Szpitalnej 17. Dom ten znajdował niemal nad samą urokliwą, płynącą przez park miejski rzeczka Zgłowiączką, wpadającą paręset metrów dalej do Wisły. Od wybuchu wyleciały wszystkie szyby wraz z futrynami. W związku z tym cała rodzina z dopiero co urodzonym, dwutygodniowym siostrzeńcem Bogusiem schroniła się w księgarni oraz centrali gazet i czasopism Ludwika Makowskiego przy ulicy Kościuszki 6, którą wówczas kierowała moja starsza o 10 lat siostra Helena. Księgarnia miała dwupokojowe zaplecze z kuchnią i obszerne piwnice, pełniące funkcję schronu. Był to chyba najmocniejszy dom we Włocławku.

Pamiętam, jak mój szwagier Józek Lisiecki, nauczyciel w wiejskiej szkole w Krzywej Górze pod Włocławkiem, zmobilizowany do wojska jako rezerwista w 14 pułku piechoty, stacjonującym wówczas we Włocławku, wpadał w nocy pełen niepokoju o rodzinę i nowonarodzonego syna. Przestrzegał nas, aby nigdzie się nie ruszać, mimo iż liczne rzesze mieszkańców uciekały w stronę Warszawy.

Ja i mój starszy brat Edward, ubrawszy się w mundury szkolnego przysposobienia wojskowego, próbowaliśmy zaciągnąć się do wojska. Nadaremnie. Po kilku dniach Józek już nie wrócił. Był to znak, że walki przeniosły się dalej od miasta i oddziały włocławskie skierowały się w stronę Warszawy.

Po opuszczeniu Włocławka przez władze miejskie wraz z ojcem, Janem, zaciągnęliśmy się do Straży Obywatelskiej pod komendą inż. Lucjana Górnikiewicza, niezwyklej zacności człowieka, dyrektora cukrowni w Brześciu Kujawskim. Z tego dosyć krótkiego etapu losów wojennych zapamiętałem grabieże i rabunki w sklepach, dokonywane przez elementy przestępcze. Rabusie w szczególności ładowali do swoich worków butelki alkoholu z monopolu spirytusowego przy ulicy Kilińskiego. My zaś, w Ramach obywatelskiej służby, rzucaliśmy w te worki kamieniami, aby udaremnić powstanie niepotrzebnych niepokojów i chaosu w mieście.

Niemcy weszli do Włocławka 14 września, a z nimi terror, strach i rozpacz. Oczywiście natychmiast rozwiązali naszą Straż Obywatelską, a jej energicznego komendanta, jak później się dowiedzieliśmy, rozstrzelali. Moja siostra Helena, kierowniczka księgarni, z pomocą moją i pozostałych członków rodziny zniosła sporą część cennych książek do piwnic, w których stworzyliśmy kryjówkę. Liczyliśmy naiwnie, że uda się je zachować do końca wojny i odzyskania wolności. Najważniejsze publikacje o treściach polityczno-społecznych, takie jak Melchiora Wańkowicza „Na tropach Smętka”, Józefa Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy” i wiele innych poszukiwanych przez Niemców, przenieśliśmy ukradkiem do nowego mieszkania przy ulicy Stodolnej 40. Tam wraz z dokumentami i precjozami zakopane zostały w piwnicach. Część przekazaliśmy przyjaciółom.

Jeszcze we wrześniu nadeszła pierwsza wiadomość o moim szwagrze Józku. Przywiózł ją pan Steinhagen, właściciel celulozy włocławskiej, a wraz z tą wiadomością wiele kartek od rannych żołnierzy, z którymi leżał ranny w szpitalu polowym w Sochaczewie po bitwie nad Bzurą. Wśród rannych znajdował się również mój szwagier. Miał przestrzelone stopy.

Odważna była moja dwudziestosześcioletnia wówczas siostra. Chociaż nie znała niemieckiego, postanowiła działać. Polakom nie wolno było pod żadnym pozorem opuszczać miasta, ale przy pomocy Niemki pracującej w księgarni udało jej się uzyskać przepustkę do Sochaczewa dla siebie i współpracownicy. Na miejscu, posługując się językiem francuskim, otrzymała od niemieckiego komendanta szpitala zezwolenie nie tylko na wydanie ze szpitala szwagra, którego przedstawiała jako swego ojca, ale także czterech innych, lżej rannych, pochodzących z Grudziądza i Torunia. Tym sposobem wszyscy uniknęli obozu jenieckiego. Gehenna powrotu mojej dzielnej siostry wraz z rannymi żołnierzami do domu zasługuje zapewne na zupełnie odrębny opis.

Rozpoczęła się koszmarna noc okupacji. Skupiliśmy się razem – całą naszą rodziną (rodem z Gostynina, przybyłem do Włocławka w 1927 roku jako 4-letnie dziecko) złożoną najpierw z 10 osób, później zaś z 12 – w trzech amfiladowych pokojach z kuchnią. Przyjeliśmy bowiem na pewien czas żonę brata mojej matki z małym dzieckiem, przybyłych z rejonu Suwałk. Mój wuj pełnił służbę w placówkach Korpusu Ochrony Pogranicza. W czasie wojny został najpierw osadzony w obozie internowanych na Litwie, a po wkroczeniu wojsk sowieckich przebył długą, mozolną drogę do Kozielska. Stamtąd poprzez Murmańsk, Półwysep Kolski, Suzdał trafił do obozu w Tatiszczewie i wreszcie z wojskiem gen. Andersa dotarł poprzez Iran, Irak i Egipt do Włoch. Wziął udział w bitwie o Monte Cassino. Powrócił do Polski z Anglii w czerwcu 1947 roku.

W pierwszych miesiącach i latach okupacji życie naszej rodziny toczyło się w atmosferze pełnej lęku przed wysiedleniem, przesiedleniem lub aresztowaniem. Zaczęło się od wywożenia ludności żydowskiej, stanowiącej ok. 30% mieszkańców 70-tysięcznego wówczas miasta. Później nastąpiła seria wysiedleń lub przesiedleń ludności polskiej, w celu przygotowania Włocławka do zajęcia przez element niemiecki. W te niespokojne noce siedzieliśmy na przygotowanych tobołkach z żywnością, odzieżą i najpotrzebniejszym drobiazgami. I w końcu także przed naszym domem zatrzymały się dorożki (taka to była hitlerowska praktyka) i musieliśmy przenieść się do obskurnej, pożydowskiej oficyny przy ulicy Tumskiej 5. W 12 osób dotrwaliśmy w tym trzypokojowym, amfiladowym mieszkaniu do zakończenia wojny.

W mieście panowała groza. Niemcy podstępnie zorganizowali zebranie nauczycieli i duchowieństwa w ewangelickiej szkole Mytza przy ulicy Słowackiego – rzekomo w celu organizowania szkolnictwa – aresztując wszystkich, w tym dyrektora mojej szkoły księdza kanonika Mieczysława Cwiłowicza. Wszystkich osadzili w miejskim więzieniu. Większość nauczycieli z mojego gimnazjum została w ten podstępny sposób aresztowana. Później wywieziono ich pod Królewiec do budowy dróg. Żaden z moich biednych profesorów już nigdy nie powrócił.

Nam przyszło żyć i niewolniczo pracować w przejmowanych przez Niemców przedsiębiorstwach i sklepach. Mój starszy brat Edward został wywieziony z grupą młodzieży do huty stali w Lipsku, skąd zresztą – także nie znając niemieckiego – po jakimś czasie uciekł i przy pomocy dobrych ludzi przedostał się do Włocławka. Znajdował się w strasznym stanie zdrowia. Ukrywaliśmy go w piwnicy (szukało go Gestapo wzywając moją starą matkę na śledztwa) do czasu przejścia w okolicy Żychlina przez „zieloną granicę” do Warszawy, gdzie działał w konspiracji. Potem brał udział w Powstaniu Warszawskim na obszarze Ochoty i Pęcic pod dowództwem pułkownika „Grzymały”. Ja natomiast, poznawszy jeszcze w szkole język niemiecki, za sprawą znakomitego germanisty księdza profesora Mariana Szczodrowskiego, zostałem zatrudniony we wspomnianej wyżej księgarni, przejętej przez przybyłego z Berlina Niemca Alfreda Schulza. Z czasem zostałem zwolniony. Udało mi się uzyskać pracę – miał w tym udział oczywiście Arbeitsamt włocławski – w naprawczym warsztacie samochodowym Rudolfa Schmidta, funkcjonującym pod nadzorem Wehrmachtu.

Chciałbym jeszcze wspomnieć wdzięczną pamięcią o księdzu profesorze Szczodrowskim, który przebywając przez wiele lat w Niemczech nie mógł w swej szlachetnej naiwności pojąć tego, co czyniono z Polakami. Stawił opór i sam oddał się w ręce oprawców. Podzielił los kolegów profesorów,

mimo iż jako były żołnierz Wehrmachtu jeszcze z pierwszej wojny światowej, miał możliwość ocalić życie.

Dzięki wspomnianej dobrej znajomości języka niemieckiego zostałem wyreklamowany przez niemieckich szefów od wywózki na przymusowe roboty do III Rzeszy i tak przetrwałem do końca wojny.

Włocławek tymczasem za sprawą pewnych siebie, świeżo osiedlonych okupantów, z miesiąca na miesiąc zmieniał swoje dawne, miłe sercu oblicze. Z Włocławka został przemianowany na Leslau an der Weichsel. Jego główne ulice, jak Kościuszki, 3 Maja, Brzeska, Plac Wolności – zmieniły swe nazwy na Hermann Goering, Rudolf Hess, Horst Wessel strassen, czy Adolf Hitler Platz. A włocławską gazetę codzienną „ABC” zastąpił „Leslauer Bote”. Nastąpiła pełna izolacja od reszty kraju, pozostawione niby Polakom pod niemieckim nadzorem w postaci Generalnego Gubernatorstwa. Po tych niby niemieckich ulicach miasta zaczęli się panoszyć Niemcy w mundurach SA, SS, NSSK i innych organizacji politycznych, militarnych i paramilitarnych. Trudno to było znosić młodemu Polakowi. Wręcz przerażały buńczuczne ryki ohydnych chłopaków z Hitlerjugend. Wśród maszerujących dostrzegałem ku swemu zdumieniu także i niektórych moich kolegów gimnazjalnych, przefarbowanych na Volksdeutschow.

Powiększał się ucisk Polaków, którym wydano Bezugscheiny czyli kartki na żywność bezkaloryczną, szmatławe buty, „cajgową” odzież i papierosy, którymi truto młodych i starych, oczywiście w racjach odpowiednich do narodowości. Głód zaczął zaglądać do naszych domów. Zupy brukwiowe i tym podobne „Eintopf”, a także marmolady z buraków stały się stałym elementem pożywienia i przyczyniły się do powstania u mnie anemii, którą trzeba było leczyć hepatratem, tj. zastrzykami z wątroby. Organizm młodego człowieka musiał zwalczyć i te przeciwności losu.

Mama z tatą, dopóki jeszcze żył, zaczęli hodować w kuchni króliki. Było ich chyba z 8 do 10 klatek. I to było całe nasze mięso. W szczególności chodziło tu o te dopiero co narodzone dzieci, czyli moich siostrzeńców. Ze skórek królików wytwarzało się dziecięce futerka, aby srogie zimy nie dawały im się we znaki. W pokojach mieszkalnych rodzice zainstalowali piece z beczek karbidowych i prowadzących do nich rur, w których to piecach ugniatano trociny i podpalano. Brakowało bowiem węgla. Nigdy tego nie zapomnę. Te wszystkie zabiegi gospodarczej natury budziły niekiedy przy okazji rewizji sprzeciw Niemców, ale w końcu żadnych represji nie stosowali.

Szcześliwym zbiegiem okoliczności mimo młodego wieku udało mi się uzyskać stanowisko kierownika magazynu części zamiennych (tzw. Lagerführera) we wspomnianym wcześniej warsztacie naprawy samochodów, tzw. Autoreparaturwerkstaette Adlerdienst. Po prywatnych polskich właścicielach objął go przybyły ze Stanisławowa z dwoma jeszcze braćmi tzw. Wohlyniendeutsche, Rudolf Schmidt. Drugi z braci, Paul, zabrał salon samochodowy przy Placu Wolności po znanej firmie włocławskiej Rembielińskich, a trzeci Ludwig, rezerwista Wehrmachtu w randze kapitana – doglądał zakładu w obawie przed sabotażem wśród zatrudnionych tam tzw. Schirrmeister i Oberschirrmeister (wyłącznie Polaków – majstrów i uczniów). Nad tymi zaś ludźmi sprawowali jeszcze kontrolę przydzieleni przez Wehrmacht żołnierze. Odpowiadali oni za dobrą robotę i terminowe naprawy w warsztacie samochodów: Adlerów, Opli, Mercedesów, dekawek, Manów i wszelkiego rodzaju ciężarówek, Diesłów, Fordów oraz motocykli odchodzących po naprawie prosto na front.

W miarę rozwijającego się interesu i pogarszających się warunków życia okupacyjnego postanowiliśmy wraz z przyjacielem i dwiema koleżankami ze szkół włocławskich zdziałać coś pożytecznego dla Polski. Chcieliśmy wyrównać własne krzywdy doznawane na co dzień, jak i zrobić coś dla sprawy polskiej w ogólności. Nie przeczę, że był to pewien rodzaj odwagi młodych ludzi, nie przyjmujących pod rozwagę autentycznego uczucia strachu, no chyba że przed więzieniem czy obozem.

Tak więc na porządku dziennym stało się od czasu do czasu wydawanie majstrom z magazynu tzw. szmelcu – starych, zużytych części zamiennych np. amortyzatorów, gaźników, drążków kierowniczych. Nauczyłem się tej pracy świetnie z niemieckich katalogów firm samochodowych, w których zamawiałem nowe części – w Lipsku czy Dreźnie. Te stare części były odpowiednio „szprycowane” w barwach ochronnych, tworząc wrażenie nowych. W taki to właśnie sposób rekompensowałem sobie długą niewolę pod okiem kapitana, który w sąsiednim pokoju codziennie na podstawie komunikatów wojskowych (Oberkommando der Wehrmacht) przesuwał sobie szpileczki wetknięte w mapę Europy. Zaglądaliśmy tam często pod nieobecność szefa marząc o wolności.

W 1943 roku zmarł mój najstarszy brat Stanisław, przed samą wojną żołnierz Ochotniczych Hufców Pracy (pracował w intendenturze) w Warszawie, skąd poszedł na wojnę wrześnieją trafiając do niewoli w Klausen koło Wartenburga. Skierowany przez Niemców do przymusowej pracy w polu, wydostał się z niej dzięki pomocy przyszłej żony Natalii. Ciężko chorego umieściła w wojskowym szpitalu ujazdowskim w Warszawie, gdzie niestety po pewnym czasie zmarł. Przeżyłem ten fakt boleśnie. Przypominam sobie, że mamie udało się wówczas uzyskać przepustkę (Passierschein) do Warszawy na pogrzeb. Leży wraz z innymi żołnierzami w kwaterze wojsk 1939 roku na Wojskowym Cmentarzu Powązkowskim w pobliżu kwatery wojsk spadochronowych.

Konieczność utrzymania dwunastoosobowej rodziny (większość z nich nie miała stałego zatrudnienia), wraz z dwojgiem dzieci mojej siostry Kazi, żony rannego szwagra, zmuszała mnie do szukania kolejnych źródeł zarobkowania. I znowu dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego zostałem zaangażowany przez dwie firmy prasowe do prowadzenia obnośnej dystrybucji czasopism ilustrowanych i fachowych do niemieckich domów. Pamiętam jeszcze ich nazwy: Herbert Dreyer in Danzig i Werner Kraschewski in Posen. Do tej pracy, kierowanej przeze mnie, włączyłem ojca, jedną z sióstr i dwóch młodych chłopców zza Wisły. Dzięki temu pogłębiłem znajomość niemieckiego. Ale nie tylko. Cały pozostający mi czas wolny poświęcałem na uczenie się języka francuskiego z przejętego z księgarni samouczka Cherela i angielskiego z samouczka Calluma. Robiłem to z myślą o przyszłości. Pobierałem także korepetycje – przede wszystkim z algebry i geometrii – od zacnego i niezapomnianego profesora Władysława Drzewińskiego. Oprócz tego kontynuowałem naukę gry na skrzypcach u wspaniałego profesora Wiktora Niwińskiego, w którego orkiestrze szkolnej przy gimnazjum imienia księdza Jana Długosza grałem na patriotycznych akademiach przed wojną. Naturalnie wszystko to odbywało się w ramach tajnego nauczania. Sam także udzielałem korepetycji, głównie z łaciny i niemieckiego młodszym uczniom, mając w tej dziedzinie praktykę jeszcze z czasu przedwojennego. Tajnie uczyły też moje dwie siostry, z których Helena musiała się później ukrywać wskutek donosu nędznych osób. Tych nie brakowało. Niejedni sami ubiegali się o miano Volksdeutscha lub też tzw. „Leistungspole”, tj. Polaka, który pracą zasłużył sobie na wyróżnienie, otrzymując z tego tytułu profity w postaci lepszych kartek zaopatrzeniowych.

Podczas okupacji brak było raczej szerszych, bliższych kontaktów z kolegami szkolnymi. Zdecydowanie rozproszyli się po Polsce. Część z nich znalazła się w Warszawie. Dwaj wspaniali koledzy – bracia Włodek i Siasio – poległi w Powstaniu Warszawskim. Mój zaś najbliższy kolega z tej samej ławki szkolnej, Janusz Paszyński, znalazł się najpierw w więzieniu na Szucha, potem na Pawiaku, a po Powstaniu, w którym brał udział jako kapral „Machnicki” w zgrupowaniu Krybar w rejonie Powiśla i Krakowskiego Przedmieścia, trafił do Stalagu Fallingbostel. Jego młodszy brat Jędrzek, wzięty z Warszawy, zginął w ostatnim transporcie ewakuacyjnym obozu Gross Rosen do Czechosłowacji.

I oto nadszedł czas wolności. 20 stycznia 1945 roku usłyszeliśmy upragnione odgłosy armat zza Wisły. Pochowaliśmy się w nocy w piwnicach. Rankiem 21 stycznia Niemców już nie było we Włocławku. Dzień przedtem niemieccy szefowie warsztatu zaczęli ładować swoje co lepsze meble do ciężarówek wojskowych. Nam polecili pakować do skrzyń wszystkie co cenniejsze części samochodowe. Szykowali się do ucieczki. Działali w wielkim popłochu, jakby zaskoczeni i nie dowierzający, że muszą opuścić swoje nowe miejsce pobytu. Mój kapitan napomknął, że wrócą i żebyśmy pilnowali całości warsztatu. Korzystając z tego stanu niepewności zarządziłem, razem z moim przyjacielem Stasiem Osterloffem, załadowanie skrzyń starymi częściami z magazynu szmelcu, kładąc na wierzchu i obkładając trocinami niewiele tylko nowych (tzw. Ersatzteile), aby uciekający nie dostrzegli ostatniej dywersji. Udało się. Pojechali. Rudolf, jak słyszeliśmy, nie dojechał nawet do pobliskiego Kowala, tam został ubity. Paul zaś z całym kramem podobno dotarł do Wiednia. Nie wiem, czy to prawda. Co z dobrotliwym Ludwikiem – nie wiem.

Wczesnym rankiem 21 stycznia ruszyliśmy ze Stasiem przez opustoszałe, ale słoneczne i skrzące się obfitym śniegiem miasto do warsztatu, który jak się okazało, już w nocy został dokładnie obrabowany przez „elementy”. Staaliśmy w oczekiwaniu w bramie. Wnet usłyszeliśmy, a za chwilę ujrzeliśmy nadjeżdżające z wielkim rumorem od strony Łuby czołgi sowieckie.

Zaraz nazajutrz mój szwagier Józek, nauczyciel, stanął wraz ze mną – „małym maturzystą” – do pracy w organizowaniu szkół we Włocławku. Był jednym z głównych organizatorów, pełnym zapału i oddania sprawie szkolnictwa. Został wkrótce kierownikiem szkoły przy kościele św. Stanisława. Ja zaś z innymi przystąpiliśmy do opróżnienia szkoły powszechnej przy ulicy Nowomiejskiej z poniemieckiego sprzętu szpitalnego i wstawienia ławek i całego wyposażenia szkolnego. Brakowano nauczycieli. Zacząłem uczyć dzieci w pierwszej klasie do czasu stworzenia pierwszego powojennego gimnazjum imienia Marii Konopnickiej przy ulicy Bechiego 1.

Już 21 lipca 1945 roku miałem w rękę pierwszą powojenną maturę, a za dni parę byłem już w Poznaniu, by tam odbyć studia ekonomii politycznej na Uniwersytecie Poznańskim. Mój ponowny kontakt ze szkołą znalazł swój sympatyczny wyraz w podjęciu pracy w Państwowych Zakładach Szkolnych, kontynuatorze lwowskiego PWKS (Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych), przekształconym później w Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, które opuściłem jako zastępca dyrektora naczelnego ds. ekonomicznych, przechodząc na wcześniejszą emeryturę w 1984 roku.